

Odyniec Puttkamer i
Mannylla.

(Przeegl. Poluki, 1881,
pokr. dz.)

(Tammie gmuha)

Amkriang: kiviampstane.

(Praaglag Polki 1897, vienyuon)

epokai kaidua Marzouurkiogo.

Mourel - Louis Jones. Quie kouty z akrep

PUTTKAMER I MARYLLA.

z wspomnień

A. E. ODYŃCA ¹⁾.

.... Za powrotem znalazłem miłą bardzo niespodziankę dla siebie, to jest formalne zaproszenie od państwa Puttkamerów, abym do nich razem z Czeczotem na Zielone Świątki przyjechał. Oboje byli mi nieznajomi, ale oboje napisali list taki serdeczny, że choćbym sam nawet wprzód nie miał, onby mi natehnał ochotę do zrobienia tej znajomości. Ale Marylla oddawna była dla mnie przedmiotem ciekawości; i gdy w kwietniu 1822 r. była z mężem na parę tygodni w Wilnie, i wiedziałem, że Adam i Czeczot u nich bywali, nieraz szukałem sposobu, aby ją choć zdaleka obaczyć, nie śmiejąc, ma się rozumieć, prosić żadnego z nich, aby mię do jej domu wprowadził, ani nawet wspominać im o tem. Ale trzebaż, że właśnie to moje owoczesne krążenie około domu, gdzie mieszkała, było jakby pierwszym ogniwiem znajomości, a potem i przyjaźni naszej. W przypisku bowiem swoim do listu męża, o którym mówię, pisała: że już mię zna z widzenia, i że przeto chce poznać bliżej „Telemaka, którego taki nawet surowy Mentor jak Czeczot, Benjaminkiem swoim nazywa.“ To mi wytłómaczyło dopiero, dlaczego mnie i Adam przy pierwszym spotkaniu tak nazwał, tj., że mię tak zwykle Czeczot przed swoimi przyja-

¹⁾ Nie mamy zwyczaju przedrukowywać artykułów, ale tym razem robimy wyjątek dla wielce ciekawych, a mało u nas znanych wspomnień sędziwego poety, za jego zezwoleniem. (*Zresztą Kronika Rodzinna* mało u nas rozpowszechniona. (*Przyp. Red.*).

ciolmi nazywał. List samego p. Wawrzyńca pisany był z poważniejszą grzecznością, ale i on też niemniej na ton koleżeński zakrawał. Ujęło to mię za serce, tem bardziej, że dotąd przeciwko niemu miałem zawsze niejaki uprzedzenie z *Dziadów*, wyobrażając go sobie (jak może i niejeden z czytelników ich wyobrażał), jakimś dumnym, bogatym arystokratą, który tylko przez „złoto i świecąca bańkę honorów“ serce „wietrznej istoty“ ku sobie pociągnął. Czeczot wprawdzie mówił mi zawsze, że jestto najzaczniejszy, najmilszy człowiek, i że całe postępowanie jego względem Adama, było nacechowane zawsze najwyższą szlachetnością, którą sam Adam najzupełniej uznawał. Nigdy wszakże, nie poznawszy sam osobiście, nie mógłbym na cudzą wiarę przypuścić, aby ów „wydzierca Marylli“ był rzeczywiście tak wysoce idealnym, i nawet, że się tak wyrażę, tak poetycznym pod każdym względem człowiekiem. Nim więc przystąpię do opowiadania własnych mych o nim wspomnień, chcę podać tu nasamprzód krótki jego życiorys, podług najwierniejszej prawdy skreślony, aby fakta, lepiej niż wszelkie słowa dały poznać go takim, jakim był w istocie — jako człowiek i jako obywatel.

Wawrzyniec Puttkamer, syn Aleksandra, szambelana b. Dworu polskiego, i Karoliny ze Stryjeńskich, urodził się w r. 1794 w dziedzicznej wsi Bolciennikach, w powiecie Lidzkim. Tytuł hrabiowski przysługiwał od wieków rodzinie jego na Pomorzu, zkąd szczep jej przeniósł się do Polski, i został potwierdzony przez heroldyę krajową. Mimo to, p. Wawrzyniec, idąc za przykładem dziada i ojca, nietylko go sam nie używał, lecz nawet użycia jego względem siebie nie znoził, przestając, jak się wyrażał, na godności polskiego szlachcica; a i tę ostatnią zakładał tylko na szlachetności uczucia i postępowania. Osierocony weześnie po matce, wychowany był głównie przez dziada, generała b. wojsk litewskich (Wawrzyńca), człowieka głębokiej wiary i nieugiętych zasad charakteru. Przymioty te odziedziczył po nim. Odbywszy szkoły w Słucku, pod szczególną opieką znakomitego ich wówczas rektora Wannowskiego, w roku 1809 wstąpił do uniwersytetu Wileńskiego na oddział fizyczno-matematyczny, i otrzymawszy stopień kandydata w r. 1812, zaciągnął się wnet jako ochotnik, i to w stopniu prostego żołnierza, do pułku ułanów Wincentego hr. Krasieńskiego, składającego, jak wiadomo, część gwardyi Napoleona, i odbył w nim całą kampanię tego roku. Podczas rejterady, wstąpił na dni parę do domu i zapadł na epidemiczną gorączkę. Ale zaledwo powrócił do zdrowia, pomimo osłabienia i groźących zkądinąd niebezpieczeństw, przedarł się sam jeden do Warszawy i połączył się tam ze soim pułkiem. Odbył z nim dalsze kampanie 1813 — 1814 roku w stopniu porucznika, i dopiero za powrotem wojsk polskich do kraju, on też na łono rodziny powrócił. Ojciec wydzielił mu majątność Unichów w po-

wiecie Nowogródzkim, w sąsiedztwie Tubanowicz, majątności pp. Wereszczaków, gdzie się poznał i zaręczył z córką domu Maryllą, przed poznaniem się jej jeszcze z Adamem. Od Zana i Czeeczota, jako naocznych świadków, wiem, jak wysoce szlachetne i prawie było całe jego postępowanie, gdy postrzegł nową skłonność swojej narzeczonej. Przez wzgląd nie na siebie, lecz na nią, nie tylko zaręczyn nie zerwał, ale po przyjacielsku rozmówił się z Adamem, i dopiero gdy ten dobrowolnie się usunął, zawarł z nią śluby małżeńskie dnia 2 lutego 1821 r. A cóż dopiero mówić o tej bezprzykładnej może względności i delikatności w postępowaniu po ślubie, na które ja sam już zbliżka przez lat cztery patrzałem, i wskutek którychto właśnie owa czysta braterska przyjaźń, jaka zawsze i ciągle między nimi istniała, zamieniła się wkońcu ze strony żony w cześć dla niego i miłość serdeczną, i bez zmiany już taką aż do śmierci obojga dotrwała.

Tu mam jeszcze za obowiązek opowiedzieć o dalszym ich stosunku z Adamem. tem bardziej, że najwierutniejsze kłamstwo w tym względzie, nie wiem, przez kogo najpierwej ukute, ale ogłoszone najprzód w *Gazecie Polskiej*, wychodzącej w Warszawie w r. 1860, lubo zaprzeczone zaraz przezemnie z upoważnienia samejże Marylli, dotąd echem krąży po świecie; jak zresztą i wiele innych, również fałszywych baśni o Adamie, jak np. o przypadkowym jakoby poznaniu się jego z Puszkiniem w Odessie, a Zygmuntem Krasińskim przy fortepianie w Genewie, o złotem piórze ofiarowanym mu jakoby przez Götthego itp.

Otóż pierwsze widzenie się Adama z Maryllą po jej zamążpójściu, nastąpiło w kwietniu 1822 r. w Wilnie, gdy tam z mężem przez tygodni parę bawiła. Adam bywał u nich dość często, ale zawsze tylko w towarzystwie Zana albo Czeeczota. Samemu p. Wawrzyńcowi ofiarował egzemplarz nowowyszłych poezyj swoich z nadpisem, któryto egzemplarz jest dotąd w posiadaniu jego syna. Następnie, na Zielone Świątki tegoż roku pojechał do nich na wieś do Bolciennik, nie z Łozińskim, jak głosiła *Gazeta Polska*, ale z żyjącym dziś jeszcze Kazimierzem Piaseckim, i nie w celu wyzwania męża na pojedynek, ale dla przepędzenia dwóch dni świąt w przyjacielskiej wiejskiej gościnie. Ostatnie zaś widzenie się było w Wilnie w pierwszych dniach lipca 1824 r., gdy przybyli oboje ze wsi na dni parę dla pożegnania się z Zanem, Czeeczotem i Suzinem, przed wyjazdem ich do Orenburga, i kiedy już było wiadomo, że i Adam z wielu innymi ma także wkrótce wyjechać.

A teraz wracam do przerwanej życiorysu, aby uzupełnić go rysem działalności obywatelskiej.

W roku 1818, na gubernialnych sejmikach w Grodnie,

młody Puttkamer pierwszy wniósł i popierał gorliwie wniosek oswobodzenia włościan z poddaństwa, jakto na mocy pozwolenia rządu czynili właśnie obywatele gubernij Nadbałtyckich. Okrzyknięto go „demagogiem.“ Jako członek i dożywotni kurator ewangelicko-reformowanego Synodu, projektował oczyszczanie włościan w dobrach do tegoż Synodu należących, ale został przegłosowany przez większość. Sam więc przynajmniej u siebie umniejszył dobrowolnie i określił inwentarzem dni robocze i inne powinności włościan, i zyskał za to w powiecie patent na „ideologa.“ Gdy zaś w r. 1845, będąc Marszałkiem szlachty powiatu Lidzkiego, przy wprowadzaniu z urzędu nakazanych naówczas inwentarzy rządowych, ściśle w nich obustronnej sprawiedliwości przestrzegając, nadano mu szyderczą nazwę „Marszałka chłopów,“ z której on owszem sprawiedliwie był dumny.

Gorliwy niemniej o materyalną pomyślność kraju, dokładał wszelkich usiłowań, aby się do rozwoju zwłaszcza przemysłu miejscowego przyłożyć. Wyjednał pozwolenie u rządu na założenie w Wilnie cukrowni przez akcyę, ale akcyonaryuszów zabrakło. Próbował więc założyć ją sam u siebie, podobnie jak fabrykę sukna i garbarnię, ale wszystkie te przedsięwzięcia, z powodu niedostatku obrotowych kapitałów, upadły. Fabryka atoli papieru, którą na ostatku założył, trwała korzystnie przez lat wiele, dopóki zastosowanie do niej machin parowych nie postawiło go w niemożności wytrzymania konkurencyi z innymi, którym na sprowadzenie tych machin starczyło. Stan bowiem zamożnego niegdyś za dziada majątku, po śmierci jego i wskutek długiej choroby ojca, doszedł był do wielkiego rozstroju. Gdy więc ojciec nakoniec zdał zarząd na niego, on, podzieliwszy się nim z jedyną siostrą, przez całe życie lamać się musiał z trudnościami finansowemi, mając przytem stale za godło maksymę przyjętą od dziada: „Niech raczej wszyscy mnie krzywdzą, bylem ja nie skrzywdził nikogo.“ Maksymy tej święcie dopełniał, a wsparty niezachwianą wiarą w Opatrzność, umiał utrzymać zawsze nie tylko spokój i pogodę umysłu, ale nawet tak miły i swobodny humor, że nim wszystkich serca zniewalał. Natura też uposażyła go hojnie, dając mu piękne męzkie rysy, i postawę, i głos dziwnie harmonijny do śpiewu. Głos ten był w nim jakby symbolicznym wyrazem wewnętrznego nastroju ducha, estetyczno-poetyckiego, który na każdym kroku życia, a nawet, rzechy można, w chwili śmierci odznaczał. Rażony paraliżem w Wilnie, właśnie gdy ledwo ze wsi przybywszy, wybierał się na wieczór do mnie, stracił odrazu mowę i przytomność, i po kilkodniowych cierpieniach odzyskał je dopiero na godzinę przed śmiercią, ale tylko na tyle czasu, że mógł zanucić jedną strofę przedśmiertnego psalnu, który dziad jego śpiewał też kona-

jąc. Umarł w Wilnie 30 stycznia 1850 r. Strata jego obudziła współczucie w całym obywatelskim społeczeństwie litewskim. Tomasz Zan, który go pierwszy wraz ze mną zaraz po skonaniu nawiedził, płacząc rzewnie powiedział o nim: „Nie było w sercu jego zdrady“ Nad grobem jego, na ewangelickim cmentarzu wileńskim, wyryty jest na pomniku ułożony przezemnie nagrobek:

Przechodniu, stój! bo stoisz nad męża mogiłą,
Co żyjąc, stał na czasie swego wysokości.
Serce jego dla Prawdy i dla Cnoty było,
A całe życie jego pasmem ofiar było,
Służąc Ludzkości w Bogu, a Bogu w Ludzkości.

.....

Po całonocnej podróży, z krótkim tylko popasem w Jaszunach, o wschodzie słońca w niedzielę zajęchaliśmy przed dom w Bolciennikach: obszerny, murowany, ale bez piętrowości. Wszyscy, ma się rozumieć, spali; ale stary poczciwy Dominik, który spał w ganku, oczekując na nas, zaprowadził nas do przygotowanego dla nas pokoju, gdzieśmy wnet tak twardo zasneli, że tenżesam nasz przewodnik zmuszony był budzić nas, mówiąc, że musimy się spieszyć z ubraniem, aby się na mszę do Bieniaków nie spóźnić. Jakoż ledwośmy się ubrali, a on znowu przyniósł nam kawę — otwierają się drzwi, i wchodzi oboje gospodarstwo, gotowi już jak wsiadać i jechać do kościoła. Weszli trzymając się pod ręce; a ta chwila pierwszego widzenia stała się dla mnie, względem ich obojga, jakby kamertonem uczucia, które rozwijając się i potęgując w ciągu wieloletniego dalszego stosunku, zawsze jednak mniej więcej zachowało ten sam ton i koloryt, w pierwszej chwili odrazu powzięty. Sprzecznym on był najzupełniej z oczekiwaniem, to jest z wyobrażeniem, jakie się już oddawna było we mnie złożyło, a którego świeże nawet opowiadania Czeczota (bośmy w drodze o tem najczęściej mówili) zmienić jakoś nie mogły. Sam on przedstawiał mi się zawsze jako poważny ziemski obywatel, z pozorem i grzecznością pańską. Ona zaś — heroina! ofiara! wyobrażała mi się nie inaczej, jak posępna, blada, milcząca, jako statua rezygnacji na grobie. Aż oto jawi się para! On, dorodny, piękny młodzieniec, z włosami blond, wijącym się w pierścienie, a z takim filareckim wyrazem w oczach i w twarzy, że aż serce drgnęło ku niemu. A ona — w białej sukience po szyję, przepasana wół paskiem czarnym, włosy ucięte krótko, ale jednak spadające na szyję zpod okrągłego słomianego kapelusika, z twarzą białą, rumianą, uśmiechniętą figlarnie, zdała mi się być typem miłuchnej pensjonareczki. Uśmieszek ten

figlarny był wyraźnie przewodnikiem ułożonego już w myśli powitania, które w wesołym i poufałym tonie, lubo zwrócone głównie do Mentora, dało się jednak zastosować i do Tele-maka, jak mnie zaraz od początku nazwała. Pierwsza też rozmowa ze mną zaczęła się od powtórzenia prawie słów listu, to jest, że była ciekawa mnie poznać, i że raz, za wskazaniem Tomasza Zana, widziała mnie chodzącego przed domem, w którym w Wilnie mieszkała. Powiedziałem zatem nawzajem, dlaczego tam tak często chodziłem — i znajomość od razu zaczęła się w najlepsze. Nimeśmy zaś we czworo w powozie dojechali na mszę do Bieniaków, byłem już tak z obojgiem jak Czeczot, który ich znał od lat wielu. (Puttkamer był wyznania ewangelicko-reformowanego, ale to mu nie przeszkadzało bywać z żoną i modlić się w katolickim kościele). Ale co mnie zadziwiło najwięcej, to, że zaraz w pierwszych rozmowach, które były o poezji, imię Adama tak często i tak swobodnie i naturalnie było wspominane przez oboje, jak gdyby *Dziadów* nie było na świecie. Następnie była też mowa i o świeżej mojej bytności w Kownie (o czym od Czeczota wiedziano), i sama pani ciekawie, chociaż bez wyraźnego nacisku, rozpytywała mnie zwłaszcza o pani Kowalskiej, o której śnać już przedtem od kogoś słyszała. Zrozumiałem, że Adam nie przestał interesować w myśli samej pani, ale że się to działo za wiedzą i zgodą małżonka, który sam o nim ze szczerem uwielbieniem jako o poecie, a z szacunkiem i życzliwością jako o człowieku wspominał. Przekonałem się zaś najdowodniej w dalszym ciągu mego z nimi stosunku, że był to skutek albo wyraźnej niegdyś między nimi umowy, albo przynajmniej szczerego i otwartego porozumienia się nawzajem w tym względzie. To też bywały chwile, że pozowała wyraźnie, i to wobec męża, jeśli nie wprost na ofiarę, to przynajmniej na heroinę, która z siebie ofiarę poniosła. Wynik zaś tego wszystkiego w przekonaniu mojem był taki: że to poetyczne idealizowanie samej siebie, we własnych swoich marzeniach i myślach, wynagradzało jej dostatecznie rzeczywistą stratę kochanka, aż nawet całkiem w końcu miejsce jego zajęło; mąż zaś, wyrozumiewając doskonale ten stan eterycznego rozmarzenia wyobraźni, z rozmysłu i postanowienia pozwalał jej bujać swobodnie i wyczerpywać się do końca, ażby znużona wreszcie i nasycona wymarzoną chwałą heroiny, sama przez się wróciła na poziom rzeczywistego życia. Jakoż mądre te przewidywania psychiczne ziściły się z czasem co do joty. A że człowiek, który to umiał przewidzieć, musiał być i był istotnie niepospolitym człowiekiem — nie dziw, że zaspokojona w wyobraźni swej co do siebie, sercem zwróciła się w końcu i przywiązała do tego, który jej tak rozumnie i szlachetnie do osiągnięcia tego uspokojenia dopomógł. Dalsza historia małżeńskiego ich stosunku jest taka: apoteozując się

wciąż w myślach własnych, jako ideał uczuć wielkiego peety, jako źródło pierwszych jego natchnień i chwały, nowa Laura czy Beatricze, w życiu realnem była zawsze przykładową towarzyszką i najszczerszą przyjaciółką dla męża; aż nakoniec wspólna rodzicielska miłość ku dzieciom zjednoczyła ich i pomiędzy sobą wspólnością uczuć i myśli, tak, że pożycie ich odtąd aż do końca życia stawilo obraz szczęśliwego stadła. Ale co w pierwszych latach, o których tu właśnie mowa, to cała zasługa utrzymania i kierowania stosunkiem przypada na takt, rozum i szlachetną wyrozumiałość męża.

Dla gości wszakże dom ich już i wtedy był dziwnie miłym, a zwłaszcza dziwnie poetyckim przybytkiem. Wszystko tu zda się tchnęło i było przesiąkłe poezją, zaczawszy od samej pani aż do najdrobniejszych szczegółów codziennego życia. W niczem nie było światowego przepychu ni zbytku; ale bez przesady możnaby powiedzieć, że we wszystkim był przepych i zbytek poetyczny, to jest że wszystko miało raczej na celu estetyczne wrażenie i przyjemność, niżeli realną potrzebę lub materialny pożytek. Samo nawet właściwe gospodarstwo żeńskie, domowe, którem się sama owszem chętnie zajmowała, miało charakter więcej sielankowy, niż ściśle ekonomiczny. Zaglądała np. do obory, stajni i folwarku, ale to nie gwoli nabiału, lub dozoru pańskiego oka. Krowy na zawołanie do rąk jej przychodziły same; konie w stajni, a zwłaszcza ulubiona jezdnia „Huryska,“ oglądały się ku niej, gdy weszła; bo zwykle miała w chustce sól lub cukier dla jednych i dla drugich. Na głos jej po obiedzie z ganku wszelkie ptactwo ze wszystkich stron dziedzińca biegło z krzykiem i skupiało się koło niej, bo mu z kosza sypała ziarno lub okruszki zebrane ze stołu. Z twarzy sług widać było ochoczą uprzejmość, z jaką każdy był gotów na rozkazy pani, bo pani nie wymagała tylko biernego posłuszeństwa, lecz była sama w domu jak *starsza panienska*, co na wieś na wakacye przybywszy, i sama bawi się wszystkim i każdemu radaby zrobić przyjemność. Rzeczywisty niewieści zarząd domu był wyłącznym udziałem starej pani *Gryndzowej*, to jest dawnej piastunki samego pana, która go wychowała od dziecka osieroczonego po matce, i której on kiedyś chłopięciem życie nawzajem ocalił, ugasiwszy, z narażeniem się własnem, zajęta już płomieniem odzież jej od kominu, przy którym przędząc usnęła. Stosunek jej z młodą panią mógłby ujść i był istotnie najpiękniejszym dowodem charakteru i temperamentu tej ostatniej, która go tak ułożyć i utrzymać umiała, iż nie ubliżając bynajmniej powadze swej, jako pani domu, a uwzględniając zasługi i nawyknięcia staruszki, zostawiła ją przy zarządzie domem wychowawcą, który też ze swej strony okazywał dla niej szacunek i afekt serdeczny, jakby dla starszej krewnej, a nie sługi. Ale trudniejszy stokroć był stosunek i

obowiązek synowej względem mężowskiego ojca, który od lat już wielu popadłszy w rodzaj melancholii, po stracie żony i wskutek klęsk krajowych, na starość już był prawie dzieciniał i mieszkał stale przy synu. Byłto staruszek dziwnie cichy, słodki, łagodny, modlący się już tylko, lub niekiedy piszący wiersze (treny), których wszakże nie czytał nikomu. O wszystko prosił pokornie i za wszystko czule dziękuje. Postępowanie względem niego Marylli było istotnie godne uwielbienia. Staruszek całem sercem przywiązał się do niej; a ona, z poświęceniem najlepszej córki, starała się we wszystkim i zawsze dołączyć jego i tęsknotę osładzać. Czyniła zaś to wszystko głównie przez chęć przypodobania się mężowi, wywdzięczając się mu przez to niejako za swobodę, którą on sercu i myślom jej zostawiał. Chęć ta przypodobania się jak bratu okazywała się w niej również i w innych szczegółach domowego pożycia. Mąż naprzykład był przedewszystkiem troskliwy o los i dobro swych włościan. Dopomagała mu więc w tem najgorliwiej, opiekując się sama dziećmi i chorymi we wsi, albo też dla pracujących w lecie podczas skwarów, przyrządzając i posyłając na pole beczki z kwasem lub wodą octową. Towarzyszyła mu też chętnie w odwiedzaniu chałup wieśniaczych, a nawet często i na polowaniu z chartami, które on lubił namiętnie, (ona była tylko śmiałą amazonką). Same nawet psy jego myśliwe, których było stosunkowo zawiele, a w których ona sama wcale upodobania nie miała, były dla niej przedmiotem troskliwej opieki, bo wiedziała, że się to podoba mężowi. W ten też sposób daje się najlepiej a nawet jedynie pojąć i wytłómaczyć ów szczególniejszy stosunek, który ich łączył w pierwszych latach pożycia. Nie miał on w niej właściwie żony, ale miał czułą siostrę i dobrą przyjaciółkę, która o jego przyjemnościach myślała i z którą mógł o wszystkim z ufnością i z przyjemnością pomówić. A zresztą i sama bytność w domu młodej, nadobnej, miłej panienczki nie mogła jużcić nie mieć dlań pewnego uroku, tembardziej, że miał zawsze w perspektywie przed sobą, iż wcześniej czy później miłość jej pozyska.

I tu właśnie jest miejsce, jak sądzę, powiedzieć jeszcze słów kilka o osobistości Marylli. Śmiało można być pewnym, że ludzie będą przez wieki myśleli i wspominali o niej, jak dziś myślą i wspominają o Urszule Kochanowskiego. A któż dziś nie radby wiedzieć, jak wyglądało za życia to *Kochanie Ojcowe*?

Otóż ja, jako świadek naoczny, powiadam: że nie znam drugiej osoby, coby się tak kwalifikowała, jak ona, na przedmiot *poetycznego kochania*, i to zwłaszcza ze strony poety-studenta i adepta „*promionkowej*” teorii miłości. Nie mogła ona nazwać się piękną, we właściwym tego słowa znaczeniu, ale miała ten wdzięk i powab, który stanowi istotę i główny

urok piękności. Kibić kształtna, wzrost średni, twarz pogodna i miła, oczy niebieskie, spojrzenie wyraziste i czułe, uśmiech naiwny i figlarny zarazem — wierny obraz umysłowego i uczuciowego nastroju jej ducha. Oczytana, egzaltowana, marząca więcej niż myśląca, nigdy ona nie wyszła sama w sobie na jasno z tęczowej mgły swej wyobraźni; ale sama ta mgła właśnie sprawiała, że też i dla oczu patrzących nie wydała się nigdy zwyczajną pospolitą istotą, i dosyć było spojrzeć przez pryzmat miłości, aby w niej dojrzeć nieziemskie, Ossyanowskobloeczne zjawisko. Gustaw spojrział — i mamy *Dziady*.

Ale wróćmy do realnej prozy. Przez te trzy dni pobytu w Boleciennikach wyczerpaliśmy wszystkie wiejskie rozkosze. Chodziliśmy i jeździliśmy konno na spacer, około zboża, do wsi i do lasu. Obiadowaliśmy pod gołym niebem w ogrodzie, a podwieczorkowaliśmy wesoło w gaju, choć tam to właśnie znajdował się ogromny płaski kamień, z krzyżem przez nią samą wykutym, położony jako nagrobek: Przeszłości i Nadziei. Jeździliśmy wieczorem na słomki i strzelaliśmy do jaskółek nad stawem, przyczem *blekitny* nasz kolega, p. Ksawery Turski, który też swoją drogą jako gość przyjechał, rehabilitował świetnie strzelecką sławę poetów, z których się pod tym względem natrzasała Marylla. Zabawę między czterema ścianami składały, oprócz rozmowy: muzyka, deklamacja lub śpiewy samego pana Lorensa (bo go tak nazywała Marylla, a i my wszyscy przyjęliśmy tę nazwę). O głosie jego wspomniałem już wyżej, że był dziwnie harmonijny i wdzięczny. Śpiewał zwłaszcza z upodobaniem francuskie piosnki żołnierskie albo nasze własne ludowe. Z tych ostatnich utkwiała mi zwłaszcza w pamięci jedna rusińska, i to nie tylko ze swojej melodyi, chociaż bardzo wdzięcznej i na temat której Marylla ułożyła też bardzo wdzięczne waryacje na fortepian. Była bowiem niepospolitą na owe czasy muzyczką, i choć nie zadziwiała mechaniczną ruchliwością palców, ale gra jej przemawiała do serca. Piosnka zaś, o której wspomniałem, była następująca:

„Da czerez moj dwor,
Da czerez moj dwor,
Da cacięra lacięla.
Nie dau mnie Boh,
Nie dau mnie Boh,
Kaho ja chacięla.“

Słowa te w ustach męża Marylli, śpiewane przy akompaniamencie jej samej, mogłyby ująć za najwymowniejszy komentarz ówczesnego ich między sobą stosunku. Dla mnie zaś ta pierwsza trzydniowa gościna w Boleciennikach stała się początkiem najszczerzej, serdecznej przyjaźni, która jak już z jednej strony dotrwała, tak z drugiej trwa aż do śmierci.



F

8532

Handelsmann Mann